

## Księga Urizena

O mocy zagarniętej przez pradawnego Kapłana,  
Kiedy Wieczni religią jego wzgardzili  
I dali mu na północy miejsce  
Mroczne, cieniste, puste, samotne.

Wieczni! Wasz głos z radością słyszę.  
Dyktujcie słowa uskrzydłone, bez trwogi  
Odślaniajcie ciemne wizje męki.

I

Oto cień grozy się wzniosł  
Pośród Wieczności! Nieznany, bezpłodny,  
Zamknięty w sobie, wszystko odpychający. Jakież Demon  
Tę wstrętną pustkę ukształtował,  
Próżnię, która przeraża duszę? Niektórzy powiadali:  
„To Urizen”. Lecz nieznana, odosobniona,  
Zaczajona, tajemna, mroczna moc się kryła.

Czasy po czasach rozdzielił; i przestrzeń  
Wymierzył za przestrzenia w dziewięciokrotnej  
ciemności,  
Niewidzialny, nieznany. Zmiany się pojawiły  
Jak odosobnione góry, roztrącone gwałtownie  
Czarnymi zamętu wichrami.

Albowiem bitwy toczył przeraźliwe  
W niewidzialnej Wojnie ze zrodzonymi  
Z porzuconej przez niego puszczy  
Kształtami bestii, ptaków, ryb, węzów, żywiołów,  
Ogni, wichrów, oparów i chmur.

Mroczny krzątał się w milczącym działaniu,  
Niewidzialny w udręce namiętności,  
W działaniu nieznanym, straszliwym,  
W sobie samego wpatrujący się cień,  
Olbrzymimi pochłonięty trudami.

Lecz Wieczni bory jego rozległe dostrzegli.  
Przez wieki wieków leżał zamknięty, nieznany,  
W głębinie zaczajony; wszyscy omijają  
Skamieniały ten, ohydny chaos.

Zimną grozę swoją niemy, mroczny Urizen  
Przygotowywał; miriady jego gromów  
W ponurych, jak do walki, szeregach przez straszliwy  
Rozbiegają się świat; turkot jego kół,  
Jak morze wzdęte wichrem, rozbrzmiewa w jego  
chmurach

I na jego wzgórzach przygniecionych zwałami śniegu,  
Na mroźnych, chłostanych gradem górach; krzyk zgrozy  
Nieraz daje się słyszeć, podobny gromom jesiennym,  
Ilekcio się chmura nad zniwami rozżarzy.

## II

Ziemi nie było ani kul przyciągania.  
Wola Nieśmiertelnego rozprzestrzeniała  
Albo ścieśniała wszystkie jego giętke zmysły.  
Śmierci nie było; wieczne krzewiło się życie.

Głos trąby niebios przebudził;  
I szeroko rozpostarte chmury krwi  
Toczyły się wokół skał Urizena zamglonych.  
Takie nosił imię ten samotny w Bezmiarze.

Ostry trąby dźwięk. I oto miriady z Wieczności  
Stają w ordynku nad szarymi pustyniami  
Pełnymi teraz chmur, ciemności, fair  
Które mozolnie, krętymi drogami się toczyły.  
I słowa wypowiedział wyraźne, a huczały  
Jak grom nad wierzchołkami jego gór:

„Z głębi mrocznej samotności, z wiecznego  
Gniazda w łonie mej świętości,  
Ukryty, odosobniony pośród zamysłów surowych,  
Przeznaczony dla dni przyszłości,  
Szukałem radości bez bólu,  
Trwałości bez rozchwiania.  
Dlaczego umrzeć chcecie, Wieczni?  
Czemu w nie gasnącym żyjcie palenisku?

Najpierw z ogniem się zmagalem — i w głębie  
Wtłoczyłem go, w świat wewnętrzny,  
Pustkę bezmierną, dziką, ciemną, bezdenną,  
Gdzie niczego nie było, Natury rozległe łono.  
I wsparty na samym sobie, nad próżnią rozpostarty  
Ja jeden, właśnie ja! wichry bezlitosne  
Spętałem; lecz gęstniejąc w kaskady  
Spadają nieustannie. Silny, odepchnąłem  
Fale szerokie — i powstał nad wodami  
Świat mocnego utwierdzenia.

Ja tu samotny w księgach wykutych z metalu  
Zapisałem tajemnice mądrości,  
Walkami, zmaganiem  
Tajemnice mrocznej kontemplacji  
Z przeraźliwymi z Grzechu zrodzonymi potworami,  
Mieszkającymi W łonach wszystkich,  
Siedmioma grzechami śmiertelnymi duszy.

Oto rozsuwam moją ciemność, oto na tej skale

Ręką mocną kładę tę Księgę  
W spiżu wiecznym wykutą, w odosobnieniu moim  
napisaną:

Prawa pokoju, miłości, jedności,  
Litości, współczucia, przebaczenia.  
Niechaj każdy jeden wybierze przybytek,  
Odwieczny swój dom bezmierny,  
Jedno przykazanie, radość jedną, tęsknotę jedną,  
Jedną klątwę, jedno brzemie, jedną miarę,  
Jednego Króla, jednego Boğa, jedno Prawo.”

### III

Głos umilkł. Widzieli bladą jego twarz,  
Jak się z ciemności wynurzała, jego rękę  
Na skale wieczności zdejmującą klamry  
Z Księgi spiżowej. Wściekłość zatrzęsa silnymi.

Wściekłość, furia, oburzenie  
W lawinach ognia, krwi i żółci,  
W wirach siarkowego dymu.  
I olbrzymie kształty energii,  
Wszystkie siedmiorakie grzechy śmiertelne duszy  
W ożywionych pojawiły się tworach,  
W płomieniach wiecznego gniewu.

Rozpadając się, ciemniejąc, wybuchając gromami,  
Strasznym wstrząsem rozdarta  
Wieczność rozprysnęła się szeroko,  
Na wszystkie strony daleko się tocząc;  
Wzdęta w góry na wszystkie strony olbrzymie,  
Odchodziła, odchodziła, odchodziła,  
Zostawiając pogruchatane szczątki życia,  
Urwiste, groźne skały — a w środku był bezmierny  
Ocean pustki bezdennej.

Płomienie z łopofem przebiegały po niebiosach  
W wichurze, w ulewach krwi;  
Nad mrocznymi Urizena pustyniami  
Płomienie przez pustkę jak deszcz spadały  
Na zastępy Urizena, które on sam zrodził.

Nie dadzą światła te płomienie: wszędzie ciemność  
W požodze furii wiecznej.

W męce, wśród płomieni nie gasnących  
Ku pustyniom i skałom biegł gniewny,  
Aby się tam ukryć; ale nie znalazł schronienia;  
Więc z uporem rył góry I wzgórza swą mocą,  
Piętrzył je W trudzie nieustannym,  
Wyjąc głucho, w bólu, w szaleństwie,  
Długo, długo wśród płomieni się mozoląc,

Aż siwy się stał, wiekiem zgarbiony, sędziwy  
W rozpaczy i cieniu śmierci.

Strop rozległy, kamienny  
Dokoła siebie ukształtował, jak łono,  
Gdzie tysiące rzek w żyłach krwi  
Spływa po zboczach gór, aby uśmierzać  
Wieczne ognie, co się rozprzestrzeniały  
Oc! Wiecznych; i jak czarna kula  
Oglądana przez synów Wieczności stojących  
Na wybrzeżu bezmiernego Oceanu,  
Jak ludzkie, w piersi bijące, szamoczące się serce  
Świat przestronny Urizena się wyłonił.

A Los wokół ciemnej kuli Urizena  
Z polecenia Wiecznych krążył, czał się, aby uwięzić  
I odosobnić to mroczne oddzielenie,  
Od którego Wieczność tak była daleka,  
Jak daleko gwiazdy są od ziemi.

Plakał, szlochał Los, krążąc wokół ciemnego Demona  
I przeklinając swą dolę; bo Urizen w udęcę  
Oderwany był od jego boku;  
I tylko pustka dla stóp Losa bezdenna,  
Ogień wściekle płonący — jego dom.

W kamiennym śnie Urizen spoczywał,  
Nie władający sobą, oderwany od Wieczności.

Mówili Wieczni: „Cóż to jest? Śmierć.  
Urizen to bryła gliny.”

Los był w ostupieniu i rozpaczy,  
Szlochał, płakał, jęczał,  
Dopóki oderwanie nie zostanie uleczone.

Ale nie zablizniło się Urizenowe oderwanie.  
Zimny, bezkształtny, ciało albo glina,  
Miotając się wśród przeraźliwych przemian,  
W nocy bez snów leżał.

Wreszcie Los płomienie swoje rozniecił, przerażony  
Bezkształtną, niezmierną śmiercią.  
IV

Jakże się Los zadziwił  
Grzechotem kości

I tym wznoszącym się, dyszącym siarką,  
Udręczonym Nieśmiertelnym, który tak się srożył

W wirach, we wrzącej smole  
Pod gniewnymi rękami Losa.

Uczył Los sieci i pęta,  
Aby je zarzucić na wszystkie strony.

Trwożnie się wpatrywał  
W mroczne przemiany; i każdą z nich pętał  
Okowami z żelaza i spiżu.

A takie były przemiany Urizena:

Wieki po wiekach nad nim się toczyły;  
W kamiennym śnie wieki nad nim się toczyły,  
Jak rumowisko ciemne, wielkie, zmienne,  
Huczące wstrząsami ziemi, posępnych pełne płomieni.  
Wieki toczyły się po wiekach w upiornej,  
Mdłej udręce; a krążąc wokół Urizena  
W wirach ciemności Prorok wieczny jęczał,  
Młotem okowy żelazne umacniając,  
Lejąc roztopione żelazo, rozdzielając  
Noc ową straszłą na warty.

I Urizen (tak imię jego wieczne dźwięczy)  
Płodną rozkosz swoją coraz głębiej mroczył  
W ciemności tajemnej, ukrywając w topieli  
Wrzącej siarki swoje rojenia.  
Prorok wieczny napełnił ciemne miechy,  
Odmówił spoczynku obcęgom, a miotowi  
Nieustannie bić kazał, coraz to nowe wykuwając  
łańcuchy,

Ogniwami piętnując godziny, dni, lata.

Z wiecznego umysłu, uwięzionego, poczęły się toczyć  
Fale wzburzone zażartego gniewu,  
Siarka spieniona gęstą wznosiła się nawałą,  
Aż w jezioro zastygła jasne, roziskrzona,  
Białe jak na zimnych górach śnieg.

Zapomnienie, niemotę, konieczność  
Łańcuchami umysłu spętane  
Jak zacieśniającymi się okowami lodu,  
Rozbite, oderwane od Wieczności,  
Los kuł na kowadłach żelaznych  
I rozpałał piece, i łał strumienie  
Roztopionego żelaza, roztopionego spiżu.

Miotał się Nieśmiertelny w łańcuchach,  
Dysząc boleśnie, nie mogąc znieść tej męki,  
Aż wreszcie pułap, jak dzikiej puszczy strop,  
Zamknął w okręgu źródło jego myśli.

W strasznym, pełnym majaków śnie,  
Niby w mocno spojonych łańcuchach piekielnych,

Wielki Kościec, skręcony w męce  
Pośród szalejących wichrów, wypuszczał pędy, bolesne  
Żebra, sklepioną pieczarę;  
Kości materii zamarzały  
Nad ścięgnami jego uradowań.  
I pierwszy przeminął Wiek,  
Stan posępnego cierpienia.

Z jam jego potężnego Kościca  
Opadła, ze zgrozą, czerwona,  
Rozżarzona Kula, głęboko opadła,  
Zapadła w Otchłań:  
Dyszac, zasklepiając się, drząc.

Wysnuwały się miriady gałęzi  
Z jego twardych kości.  
I drugi przeminął Wiek,  
Stan posępnego cierpienia.

Obląkany trwogą  
Krzepki jego umysł wypuścił gałęzie  
Wokół gałęzi jego serca  
Wysoko, w dwóch małych kręgach,  
I utwierdził je w dwóch małych jaskiniach,  
Troskliwie ukrywając je przed wichrem;  
Oczy jego przezierały głębię.  
I trzeci przeminął Wiek,  
Stan posępnego cierpienia.

Zaczęły się męki nadziei.  
W ciężkim bólu, miotając się, zmagając  
Dwoje Uszu w ciasnych zwojach  
Spod kręgów jego widzenia  
Wyrastało ku górze pokrętnie i kamieniało  
W miarę, jak rosło. I czwarty minął Wiek,  
Stan posępnego cierpienia.

W upiornej, mdłej mące,  
Kołysząc się w wicherze,  
Dwa Nozdrza nad głębią się pochylały.  
I piąty przeminął Wiek,  
Stan posępnego cierpienia.

W upiornej, mdłej mące  
Wśród jego żeber się rozszerzała  
Głodna, ziejąca Jaskinia;  
Z niej Gardło jego, jak kanał, się wysnuło;  
L jak płomień szkarłatny, Język  
Łaknienia i głodu się pojawił.  
I szósty przeminął Wiek,  
Stan posępnego cierpienia.

Dyszac gniewem, dławiac się męką

Prawe Ramię wyciągnął ku północy,  
Lewe ku południowi,  
Rozprzestrzeniając się w udręce bezdennej,  
A jego stopy Otchłań dolną deptały  
W dreszczu, wyciu, niedoli.  
I siódmy przeminął Wiek,  
Stan posepnego cierpienia.

V

W przerażeniu Los od swego oderwał się dzieła;  
Wielki młot wypadł z jego rąk.  
Ognie swoje widząc ze zgrozą,  
Silne członki ich ukrył w dymie;  
Bo pośród wszystkich gromów zniszczenia,  
Pośród chrzęstu, łoskotu, jęków  
Nieśmiertelny przetrwał łańcuchy,  
Choć śmiertelnym był spętany snem.

Wszystkie miriady Wieczności.  
Cała mądrość i radość życia  
Wokół niego toczą się jak morze  
Oprócz tego, co jego małe kręgi widzenia  
Stopniowo odsłaniają.

I Oto wieczne jego życie  
Jako sen wymazane.

Zadrzał wieczny Prorok, jeden cios  
Od północy swej do południa wymierzył.  
Miechy i młot już milczą.  
Drętwota milczenia głos Losa proroczy  
Spętała; zimna samotność, ciemna pustka  
Wokół wiecznego Proroka i Urizena się zamknęła.

Wieki po wiekach nad nimi się toczyły,  
Odciętymi od życia i światła, zamarzłymi  
W potworne kształty kalectwa.  
Los pozwolił swym płomieniom przygasnąć;  
Potem za siebie obejrzał się z niecierpliwą tęsknotą,  
Ale przestrzeń, nie podzielona istnieniem,  
Lękiem duszę jego poraziła.

Płakał Los ocieniony żalobą,  
A łono jego drżało trzęsieniami Ziemi;  
Zobaczył Urizena śmiertelnie czarnego,  
Łańcuchami spętanego; i Litość się poczęła —

W niepokoju ciągle rozszczepiającym,  
Bo Litość rozszczepia duszę  
W bólach, wieczność po wieczności,  
Życie kaskadami spływało z jego urwisk.  
Próżnia skupiła fluid w mięśnie

Rozbiegające się szeroko w łonie nocy  
I ostała się kula krwi  
Drżąca nad Próżnią.

Tak wieczny Prorok był podzielony  
Przed śmiertelnym wizerunkiem Urizena;  
W zmiennych bowiem chmurach i ciemności,  
Pośród mroźnej nocy w dole  
Otchłań Losa rozciągała się w bezmiar;  
I raz widzialne, raz zacienione,  
Oczom Wiecznych wizje odległe  
Mrocznego rozdzielania się jawiły;  
Jak lunety odkrywają światy  
W bezkresnej Otchłani przestrzeni,  
Tak rozszerzające się oczy Nieśmiertelnych  
Dostrzegały ciemne wizje Losa,  
A kula krwi żywota unosiła się drżąc.

Kula życia drżała  
Wypuszczając korzenie  
Włókniste, wijące się w wichrze,  
Włókna krwi, mleka i łez  
W bólach, wieczność po wieczności.  
Wreszcie we łzy i wołania wcielona  
Postać niewieścia, drżąca i blada  
Przed twarzą Losa pełną śmierci się kołysze.

Cała zatrzęsła się Wieczność  
Na widok pierwszej niewieściej postaci, oddzielonej,  
Bladej jak śnieżna chmura,  
Kołyszącej się przed obliczem Losa.

Zadziwienie, niemota, lęk, osłupienie  
Skamieniają wiekuiste miriady  
Wobec pierwszej niewieściej postaci, oddzielonej.  
Litością ją nazwawszy, umknęły.

„Rozpostrzyjcie nad nimi namiot, mocne zasłony,  
Niechaj sznury i kołki próżnię spętają, zamkną,  
Aby Wieczni już nigdy ich nie oglądali.”

Poczęli więc tkąć kotary ciemności,  
Wielkie postawili wokół Próżni słupy,  
A do słupów przytwierdzili haki złote;  
W nieskończonym mozole Wieczni  
Zasłonę tkali; i nazwali ją Wiedzą.

## VI

Lecz Los ujrzał Niewiastę, ulitował się nad nią;  
Objął ją, płakała, stroniła;  
W przewrotnej, okrutnej rozkoszy  
Uciekała z jego ramion, on szedł ciągle za nią.

Zadrżała Wieczność, gdy ujrzeli,  
Jak człowiek płodzi podobieństwo swoje  
Ze swego własnego oddzielonego wizerunku.

Czas przemijał; Wieczni  
Zaczęli rozpinać namiot;  
Lecz oto Enitharmon, omdlewając,  
Pojęła, że w jej łonie zagnieździł się Robak.

Bezradny leżał Robak W drżącym łonie,  
Czekając na kształt i istnienie.  
Przez cały dzień Robak spoczywał na jej piersiach;  
Przez całą noc w głębi jej łona  
Robak spoczywał, aż się rozrósł w węża.  
Groźnie sycząc, grożąc jadem  
Lędzwie Enitharmon oplatał.

Ciasno się zwijając w łonie Enitharmon  
Wąż rósł, zrzucał łuski;  
Wśród przenikliwych bólów syk węża powoli

W przeraźliwy krzyk się przemieniał;  
Wiele cierpień, straszliwych skurczów,  
Wiele kształtów ryb, ptaków i bestii  
Wydało z siebie Postać Dziecięcą,  
Gdzie niegdyś Robak był.

Wieczni już namiot rozpięli  
Przestraszeni tymi wizjami mrocznymi,  
Kiedy Enitharmon jęcząc  
Porodziła Dziecię płci męskiej.

Ostry krzyk rozdarł Wieczność,  
Nagły, dławiący skurcz,  
Gdy urodził się Cień Człowieczy.

Ryjąc Ziemię, torując sobie drogę nieodparcie,  
Wyjąc, Dziecię wśród gorejących płomieni  
Wynurzało się z Enitharmon.

Wieczni zamknęli namiot;  
Utwardzili kołki, sznury rozciągnęli —  
Dzieło na wieczność.  
Już nigdy więcej Los nie ujrział Wieczności.

Wziął Dziecię na ręce,  
W zdrojach smutku je skąpał,  
Oddał je Enitharmon.

## VII

Nazwali Dziecię Ork; rosło

Karmione mlekiem Enitharmon.

Los ją przebudził. O, smutku, o, bólu!  
Oto zacieśniający się pas oplótł  
Jego łono. Łkając,  
Rozerwał pas na dwie części;  
Lecz oto inny pas uciskał  
Jego łono, Łkając,  
Znowu go rozerwał, I znowu  
Inny pas go uciska.  
Za dnia się pas kształtował,  
Nocą na dwie części się rozpadał.

A one, padając na skałę,  
Stawały się łańcuchem żelaznym,  
Jednym łańcuchem o mocnych ogniwach.

Na szczyt góry powiedli Orka.  
Jakże Bnitharmon płakała!  
Przykuli młode jego ciało do skały  
Łańcuchem Zazdrości  
Poci pełnym śmierci cieniem Urizena.

Głos dziecka usłyszał umarły  
I powoli budził się ze snu;  
Wszystkie twory usłyszały głos dziecka  
I powoli budziły się do życia.

A Urizen, gnany wściekłym głodem,  
Drażniony wonnymi tchnieniami Natury,  
Przeszukiwał swoje pieczary.

Przygotował miarę i ołowiankę,  
Aby rozdzielić Otchłań rozwierającą się W  
dole;

Wytoczył linie rozdzielenia.

Ukształtował wagę I ciężkie odważniki,  
Ukształtował kwadrant ze spiżu  
I złote kompasy.  
Troskliwie badał Otchłań;  
I zasadził ogród drzew rodzących owoce.

Tymczasem Los obwarował Enitharmon  
Płomieniami Proroctwa  
Przed wzrokiem Urizena I Orka.

I zrodziła ona ród Olbrzymów.

VIII

Urizen przeszukiwał pieczary,

Góry, bagna, pustynie,  
Kulą ognia oświetlając sobie drogę,  
Wędrowną przeraźliwą, dręczony  
Okrutnymi ogromami, kształtami życia  
Na opuszczonych górach.

Mrowił się świat istnościami ogromnymi,  
Przerażającymi, uludnymi, peiznącymi  
Cząstkami życia, podobieństwami  
Stóp, rąk, głów,  
Serc, oczu; płynęły złe, zażarte  
Potworności straszliwe, łąkące krwi.

Jakże smucił się Urizen widząc  
Te wieczne twory swoje,  
Synów i córki niedoli pośród gór,  
Słyszając ich płacz i lament. Najpierw Tirieli,  
Własnym istnieniem zadziwiony,  
Niby człowiek zrodzony z chmury, się ukazał;  
Oto Utha, z wód się wynurzając, szlocha;

Grodna z głębi Ziemi się wrywa, wyje,  
Jakże zadziwiony; niebo rozległe trzeszczy  
Jak ziemia wypalona żarem słońca — i oto Fuzon  
Płomieniem się rozjarzył,  
On, pierwszy z jego tworów, ostatni urodzony.  
Podobnie wszyscy inni wieczni synowie  
Przed Urizenem się jawili; córki — spośród traw  
i trzody,  
Spośród potworów i robaków pełzających w jamach.

W ciemności zamknięty swemu rodowi się przypatrywał,  
A jego dusza omdlewała! Przeklinał  
I synów, i córki; widział bowiem,  
Że ani ciało, ani duch przestrzegać nie mogą  
Żelaznych jego praw choćby przez jedną chwilę.

Widział bowiem, że życie śmiercią żyje:  
Wół jęczy w rzeźni,  
Pies u wrót domu, gdy wiatr zimy dmie;  
Zapłakał — i nazwał to Litością,  
A jego łzy na wszystkie strony poniósł wiatr.

Zimny, kroczył wysoko ponad ich miastami  
We łzach, smutku, bólu;  
A dokądkolwiek szedł w niedoli  
Przez niebiosą sędziwą,  
Cień zimny płynął za nim zawsze,  
Do pajęczyny tkanej przez pajaka podobny,  
Wilgotny, zimny, mglisty,  
Wyłaniający się z jego zbolącej duszy,  
Rozszczepiający kamienne niebiosów więzienie  
Wszędzie tam, gdzie ponad miastami

Urizen w smutku kroczył.

I wreszcie Pajęczyna ciemna i zimna  
Z Urizenowego smutku  
Wszystkie udręczone żywioły oplotła.  
A owa Sieć Pajęcza to Niewiasta w zarodku.  
Nic, nawet skrzydła ognia, nie mogło rozerwać  
Owej sieci — tak mocne jej sznury,  
Tak ciasne sploty, tak zwiłkane,  
Jak zwiłkane są zwoje człowieczego mózgu.

I Wszyscy ją Siecią Religii nazwali.

## IX

Wtedy mieszkańcy owych miast  
Czuli, że ich mięśnie w szpik się przemieniają;  
I twardniejące kości się poczęły  
W gwałtownych bólach i udrękach,  
Drgając, trzeszcząc, rozrastając się  
Na wszystkie strony; aż zmysły, osłabione,  
Rzuciły się do ucieczki w głąb, aby być jak najdalej  
Od mrocznej sieci zarazy.

A wtedy oczy, odwracające się, zacienione,  
Już nie rozpoznawały troskliwie utkanej obłudy;  
Strugi mułu na ich niebie,  
Scalone ścieśniającym się postrzeganiem,  
Jawiły się jako powietrze przejrzyste; oczy ich bowiem  
Tak małe się stały jak ludzkie oczy;  
I oto oni, kurcząc się, pełzając,  
Byli już teraz tworami wysokimi tylko na siedem stóp.

Przez sześć dni tak umykali od istnienia,  
A siódmego dnia już spoczęli  
I błogosławili siódmy dzień w swej mdłej nadziei,  
I zapomnieli już O Życiu wiecznym.

A trzydzieści ich miast podzielonych  
Na kształt ludzkiego serca.  
Już nie mogli wznosić się swobodnie  
Pośród próżni bezmiernej, lecz do ziemi przykuci  
Zacieśniającym się postrzeganiem  
Żyli przez ileś lat,  
A potem ciało chore zostawiali  
Łapczywym szczękcom ciemności.

I płakały ich dzieci, budowały  
Grobowce w miejscach odludnych;  
I ogłaszały prawa roztropności, nazywając je  
Wiecznymi prawami Boga.

I trzydzieści miast przetrwało,

Słonymi wodami otoczonych, zwanych teraz  
Afryką; ich miano było niegdyś: Egipt.

Inni synowie Urizena  
Widzieli, jak ich bracia się kurczą  
Pod Urizenową Siecią.  
Na nic się nie zdali namowy;  
Uszy mieszkańców bowiem  
Ogłuszone były i zimne,  
A ich oczy nie dostrzegały  
Braci z innych miast.

Wtedy Fuzon zwołał  
Wszystkie pozostałe dzieci Urizena.  
I opuścili chwiejącą się ziemię;  
Egiptem ją nazwali; i odeszli.

słony Ocean toczył się zamknięty.